

DORASTAŁ W PIEKLE
U BOKU SAMEGO DIABŁA.
CZY MAFIJNA KSIĘŻNICZKA
GO POKOCHA?

SARAH BRIANNE
DOMINIC

MADE MEN

TOM 8



Tytuł oryginału

Dominic

Copyright © 2020 by Sarah Brianne

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Anna Adamczyk

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-693-5

SARAH BRIANNE

DOMINIC

MADE MEN #8

**TŁUMACZENIE
MARTA SŁOŃSKA**

OŚWIĘCIM 2021

W POPRZEDNIM TOMIE...



Maria

Czuła na skórze ciepły dotyk porannego słońca. Uśmiech wypłynął jej na usta na myśl o mężczyźnie, obok którego zasnęła, i którego twarz nie opuściła jej nawet w snach.

Powoli uniosła powieki, gotowa znów na niego spojrzeć, ale ujrzała tylko puste łóżko. Wyciągnęła opaloną dłoń i dotknęła miejsca, w którym leżał, kiedy kilka godzin temu zamykała oczy. Nie było nawet ciepłe. Zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko jednak jej się nie przyśniło. Jedynym dowodem jego obecności były jej wspomnienia i wgłębienie pozostawione w pościeli.

Zostawił mnie... bez pożegnania?

Na wpół przytomnie odnalazła telefon i wybrała z listy kontaktów jego imię. Na myśl o minionej nocy poczuła motyle w brzuchu, zwykle odpornym na takie doznania. Przyłożyła telefon do ucha; przez chwilę słyszała tylko szum, po czym zaatakował ją ostry dźwięk dzwonka.

dRRyń...

Motyle w jej brzuchu jakby przestały trzepotać, a zaczęły jej ciążyć.

dRRyń...

Usiadła na brzegu łóżka. Miała wrażenie, że coś jest nie tak. Czuła coraz silniejszy ucisk w brzuchu, który przez tę noc stał się dziwnie wrażliwy.

dRRyń...

Ścisnęła mocniej telefon, nie odrywając go od ucha.

dRRy...

Gdy wreszcie odebrał telefon, ucisk w żołądku zniknął, a wraz z nim jej irracjonalne obawy. Czekala na dźwięk jego głosu, zamiast tego usłyszała jednak nie jednego, lecz dwóch krzyczących mężczyzn. Jednym z nich był Kayne Evans, a drugim Dominic Luciano; wyraźnie rozróżniała głosy obydwu...

BANG!

Gwałtownie poderwała się z łóżka, ściskając już nie tylko komórkę; trzymała też kurczowo swoje czarne serce, nie chcąc pozwolić, aby runęło na ziemię, tak jak telefon po drugiej stronie linii. Usłyszała, jak z trzaskiem uderza o podłoże.

Drżącą ręką trzymała komórkę przy uchu, słysząc, jak ktoś po drugiej stronie opuszcza ziemski padół. Drugą dłonią ściskała swoją pierś tak mocno, że wypięlgnowane paznokcie wbijały się w jej gładkie ciało.

Krople deszczu zaczęły uderzać w okno, przez które jeszcze przed chwilą wpadały promienie słońca, zupełnie jakby bramy niebios stanęły otworem, wpuszczając do środka duszę, która właśnie pożegnała się z tym światem.

Maria rozchyliła usta w szoku, ale żadne słowo nie śmiało się z nich wymknąć, gdy spoglądała na złowróżbne strugi deszczu.

Po kilku chwilach, które zdawały się wiecznością, wreszcie usłyszała coś w słuchawce. Jakby cichy szmer oddechu, oznaczający, że był tam ktoś żywy... i że nasłuchiwał.

– Halo...? – Odzyskała głos, ale drżał tak samo jak jej kolana i był równie niepewny, jak kłębiące się na niebie chmury.

Oddech po drugiej stronie linii rozbrzmiewał coraz głośniejsze, aż szum deszczu i wszystkie inne dźwięki umilkły, a cisza zdawała się dźwięczeć równie głośno, co wcześniej dzwonek telefonu.

Jej serce tłukło się w rytmie burzowego pomruku nieba, gdy w grobowym nastroju czekała, aż usłyszy głos mężczyzny, który przeżył, wiedząc, że tego drugiego nie usłyszy już nigdy w życiu. Najokropniejsze było to, że obaj przez ostatnich kilka miesięcy zna-

leźli drogę do jej serca i dopiero zeszłej nocy zdołała wybrać jednego z nich, tego, którego rozpaczliwie pragnęła teraz usłyszeć.

Kayne.

Otworzyła usta, żeby wymówić imię mężczyzny, w którym zaczynała się zakochiwać, ale zanim zdążyła to zrobić, w słuchawce rozległ się ponury głos, na dźwięk którego upadła na kolana ze złamanym sercem.

Wszystkie motyle, które jeszcze pozostały w jej brzuchu, obróciły się w popiół, który zaraz odfrunął w głąb otchłani.

Śmierć zadecydowała o jej losie.

PROLOG



U-J-Ś-Ć C-A-Ł-O

Dominic stał przed biurkiem z ciemnego mahoni, za którym dawniej zwykł siadać jego ojciec. Przez dwadzieścia siedem lat patrzył, jak czarne oczy Lucyfera z dnia na dzień stają się coraz bardziej bezduszne, aż w końcu nawet tysiąc jasnych światłał nie zdołałby rozpałić w nich blasku.

Piwne oczy Dominica wpatrywały się w stary, obity brązową skórą fotel, dopóki Lucyfer nie „pojawił się” na siedzeniu, odpowiadając mu pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Dlaczego zwołałeś spotkanie tak późno?

Oderwał wzrok od mirażu ojca, aby spojrzeć na młodszego brata, który wyglądałby wypisz, wymaluj jak młody Lucyfer, gdyby jego ciała od szyi w dół nie pokrywały tatuaże.

Nie czekając na odpowiedź, Matthias kontynuował pospiesznie:

– Jeśli mamy ustalić plan, jak sprowadzić Angela z powrotem, powinniśmy się tym zająć rano, kiedy wszyscy będą wypo...

– Niczego takiego nie planujemy. – Dominic nie owijał w bawełnę.

– Co to, kurwa, ma znaczyć, że nie sprowadzamy go z powrotem?

– Słyszałeś, co powiedzieli... – Spojrzył na rozgniewanego Matthiasa, który doskonale wiedział, co oznaczało pozostawienie ich brata pod pieczę rodziny Caruso. On i Angel dzielili ze sobą wszystko, w tym łono, z którego wyszli. Stanowili idealne odbicia nie tylko swojego ojca, ale też siebie nawzajem.

Ci bliźniacy byli nadzwyczajni – dopóki ich nie rozdzielono. Wtedy czar szybko prysł. W pojedynkę Matthias zdawał się jedynie połową człowieka i na jego nieszczęście braci nie dało się ze sobą nie porównywać. Jeden z bliźniaków był po prostu lepszy i niestety nie był to on. Matthias potrzebował swojego brata, aby przetrwać; bez niego pozostawał niekompletny.

– Angel to ich gwarancja i będzie u nich, dopóki nie zostaną spełnione warunki kontraktu.

– Znasz Lucę; to może potrwać miesiące... lata! – Łamiący się głos Matthiasa odbił się echem od betonowych posadzek. – Nie możemy tak po prostu siedzieć i nic nie robić!

– Zrobimy coś. – Po raz pierwszy Dominic spojrział na niego nie jak na brata, ale jak na żołnierza. – Wypełnimy kontrakt.

Niemal czarne oczy młodszego z braci zwięzły się w szparki, ale mimo to dało się w nich dostrzec bolesny wyrzut.

– Już i tak płaszczyłeś się przed Carusami, błagając o wybaczenie, i oddałeś własnego brata bez walki. Ojciec zabiłby cię na miejscu za to, jak zbezczęściłeś nazwisko Luciano.

Dominic odwrócił się z powrotem do ich rodzinnego tronu. Lucyfer wciąż na nim siedział, blady i zimny jak lód.

– To przez niego w ogóle znaleźliśmy się w tej sytuacji.

Lucyfer Luciano był zepsuty do szpiku kości. Dominic do niedawna nawet nie zdawał sobie sprawy, że lata temu jego ojciec za pomocą noża wyrył swoje znamię na ciele czternastoletniej dziewczyny, obiecując, że wróci po nią, gdy ta skończy osiemnaście lat. Zastępca szefa rodziny Caruso również oszalał na jej punkcie i choć obaj mężczyźni byli ulepieni z tej samej psychopatycznej gliny, Lucca nie tylko wyrwał ją ze szponów Lucyfera, ale też zdobył jej serce. Nie mogąc znieść porażki po latach czekania na swoją zdobycz, Lucyfer przypuścił atak na rodzinny dom Carusów i pięciokrotnie postrzelił ochroniarza Lukki, aby dostać w swoje ręce tę jedyną rzecz, która mogła stać się zarzewiem wojny.

Chloe Masters.

Dominic i jego bracia pozostali przy życiu, bo dziewczyna opowiedziała Luce, jak chronili ją przed Lucyferem, dopóki nie zjawili się Caruso. Dwie mafijne rodziny z Kansas City nie toczyły w tej chwili wojny tylko dlatego, że Dominic zgodził się zawrzeć umowę i złożyć w ich ręce los Angela jako jej zabezpieczenie.

– Nic się nie martw, zamierzam bronić honoru naszego nazwiska. – Najstarszy Luciano wypowiedział tę obietnicę z taką mocą, że grunt pod jego stopami niemal zdrzął.

Przerdzewiałe drzwi zaskrzypiały głośno. Obaj spojrzeli w ich stronę i ujrzeli swojego najmłodszego brata.

– Wszyscy już są – poinformował ich Cassius z lekkim skinieniem głowy.

Odwracając się od wizji ojca, Dominic stanął dumnie przed jego tronem.

– Wpuść ich.

Chłopak otworzył metalowe drzwi, pozwalając mężczyznom wejść do opuszczonej fabryki, przejętej przez Lucyfera wiele lat temu. Nie było to idealne miejsce do zarządzania przestępczą rodziną, ale w tej gównianej części miasta nie było zbyt dużego wyboru.

Dominic pamiętał pierwszy raz, kiedy ojciec przyprowadził tu jego i bliźniaków. Byli wtedy dziećmi, więc wewnątrz budynku wydawało im się jeszcze większe. Na wieść, że Lucyfer zamierza zarządzać rodzinnym interesem z fabryki, uznał, że całkiem go pojechało. Za to Matthias i Angel byli zachwyceni; fabryczna hala była dla nich jak prywatny skatepark. Nie pamiętał nawet, ile starych T-shirtów zużyli, ścierając kurze, i nie zliczyłyby odciśnięć na dłoniach od ciąglego zamiatania betonowej podłogi starą, drewnianą miotłą. Dopiero kiedy ojciec umieścił tu biurko i fotel – ten, na którym właśnie siedział – uświadomił sobie, że jego wizja wcale nie była taka szalona... przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Jak zawsze każdy z mężczyzn zajął swoje miejsce w szeregu, tyle że tym razem stawali nie przed obliczem diabła, lecz jego syna.

Dominic przemówił stanowczo:

– Jak wszyscy wiecie, spotkałem się z rodziną Caruso i żeby jakoś wygrzebać nas z tego gówna, w które wpakował nas Lucyfer, musiałem przystać na ich warunki. Pierwszy z nich dotknie nas wszystkich. Zgodziłem się oddawać pięćdziesiąt procent naszych przychodów.

Rozległy się gniewne i zbulwersowane pomruki, ale nikt nie odważył się powiedzieć niczego konkretnego.

– Po drugie – ciągnął ostrzejszym tonem – jedna wybrana kobieta z rodziny Luciano ma wyjść za kogoś z Carusów, w nadziei, że zmieszanie naszej krwi zapobiegnie dalszym wojnom między naszymi rodzinami.

Niektórzy z mężczyzn byli wyraźnie zniesmaczeni tymi nowymi warunkami; mieli to wypisane na twarzach.

– Którą kobietę wybierzesz? – zapytał jeden z żołnierzy, troszczący się tylko o własnego kutasa.

– Nie mnie o tym decydować. – Dominic wyznał im brutalną prawdę.

Dla jednego ze starszych Luciano tego było już za wiele.

– I ty się na to zgodziłeś? Nie dość, że oddasz połowę naszej forsy tym nadzianym skurwysynom, żeby mogli sobie nią podcierać tyłki, to jeszcze pozwolisz im ruchać jedną z naszych kobiet, żeby rodziła dzieci naszym wrogom?

– Tak, zgodziłem się – odparł bez wahania – a oni zabrali naszego brata, Angela, jako gwarancję, że wywiążę się z umowy. Dlatego właśnie nie ma go wśród nas. – Wskazał obok siebie gestem dłoni.

Mężczyźni skierowali wzrok na dwóch braci Luciano po jego bokach.

Matthias stojący po jego prawej na dźwięk imienia swojego bliźniaka wbił wzrok w podłogę. Wiercił się w miejscu, w miarę

upływu spotkania czując się coraz bardziej niezręcznie. Po jego lewej Cassius stał niewzruszenie, wpatrzony w mężczyzn, jakby przez głowę nie przeszła mu ani jedna myśl.

Dominic wspomniał swoją wizytę w gabinecie Dantego i swoją ostatnią obietnicę.

– Co prawdanosisz to nazwisko, ale czy cię zaakceptują? – zapytał Vinny, consigliere Carusów, kiedy Dominic powiedział mu, że zajmie miejsce swojego ojca.

– Już to zrobili. – Dominic odpowiedział mu aroganckim spojrzeniem. – Będą mnie słuchać; zadbam o to.

Żaden z obecnych nie był przygotowany na to, co miało się teraz wydarzyć. Dominic sięgnął za plecy; jego palce dotknęły chłodnego metalu. W fabryce słychać było tylko chrobot przemyskających tu i ówdzie szczurów, zanim...

Bang.

Bang.

Bang.

Bang.

Bang.

Bang.

...rozległy się strzały. Hałas przeszył uszy żywych, a naboje – czaszki martwych.

Szóste ciało upadło z hukiem na podłogę i słychać było już tylko, jak grzechoczą kości mężczyzn stojących wciąż bez ruchu na swoich miejscach, w otoczeniu trupów posłanych na tamten świat z szybkością, jakiej pozazdrościłby nawet Usain Bolt.

Spojrzenie piwnych oczu padło na starszego Luciano, który mówił o „rodzeniu dzieci wrogom”.

– Ktoś jeszcze ma problem z warunkami, które zaakceptowałem? – zapytał Dominic, ocierając z czoła kroplę nieswojej krwi.

Wszyscy stali w milczeniu. To wystarczyło za odpowiedź.

Dominic obrzucił spojrzeniem młodego żołnierza pragnącego wiedzieć, która kobieta zostanie wybrana, i zobaczył, że mężczy-

zna jest obryzganą krwią. Założyłyby się, że jego bielizna też nie jest już czysta.

Coś różniło tego żołnierza od tamtych, którzy leżeli teraz martwi na podłodze. Dominic go oszczędził, bo nie miał mu do zarzucenia nic oprócz ignorancji, podczas gdy pozostałą szóstkę stanowili najbardziej zaufani ludzie jego ojca, którzy wiedzieli o jego chorobliwej obsesji na punkcie Chloe. Za jednym zamachem sprzątnął resztę bałaganu, jaki pozostawił po sobie Lucyfer, i zasiał strach w sercach swoich ludzi – nie mógł przepuścić takiej okazji.

– Dobrze. – Schował Glocka z powrotem za plecy i pstryknął palcami, dając znak braciom. – Wynieście ich stąd.

Matthias potrzebował chwili, aby ruszyć się z miejsca, z całych sił próbując ukryć swoje przerażenie. Z równowagi wytraściło go nie to, co Dominic zrobił, ale to, jak nagle wszystko się wydarzyło.

W przeciwieństwie do niego Cassius od razu podszedł do zwłok leżących u stóp starszego brata, chwycił martwą dłoń i zaczął wlec trupa za sobą, pozostawiając krwawy ślad na podłodze fabryki. Chociaż był tylko nastolatkiem i robił to po raz pierwszy, był już w połowie drogi, zanim Matthias w ogóle wziął się do roboty. Wszyscy obecni podskoczyli z wrażenia, gdy padły strzały... Wszyscy z jednym wyjątkiem. Cassius jako jedyny nie miał duszy na ramieniu, ponieważ w ogóle jej nie posiadał.

Dominic obrócił się na pięcie i spojrzał w oczy Lucyfera, który przeszywał go krytycznym wzrokiem ze swojego tronu. Przejechał czubkami wytatuowanych palców po mahoniowym blacie biurka, czując pod opuszkami fakturę drewna.

– Dokonam tego, co tobie nigdy się nie udało. – Rzucając ojcu ostatnie wyzywające spojrzenie, wyszeptał tak, żeby nikt inny nie słyszał: – To ja będę królem.

Kiedy zasiadł na obitym skórą tronie, wizja Lucyfera natychmiast się rozwiała; jego duch zniknął równie szybko, jak się pojawił. Syn zajął miejsce ojca, zastępca stał się szefem, nowe przejęło stare.

Jako dziecko ani razu nie usiadł na tym fotelu, aby marzyć o dniu, kiedy władza przejdzie w jego ręce. Zawsze wiedział, że poniesiona kara, gdyby choć dotknął mebla, nie byłaby tego warta.

– A teraz... – Usiadł wygodnie i zacisnął dłonie na poręczach fotela, eksponując słowa U-J-Ś-Ć C-A-Ł-O wytatuowane ciemnymi, gotyckimi literami na jego palcach. – Zaczynajmy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Jesse James to był dopiero twardy skurczybyk

Dominic, lat 5

Mały Dominic siedział po turecku na zakurzonej drewnianej podłodze, wpatrzony z bliska w tracący co chwilę ostrość obraz na ekranie niewielkiego telewizora. Oglądał western. To był nie tylko jego ulubiony gatunek filmu, ale i wręcz jedyny, jaki kiedykolwiek oglądał. Myślał, że w telewizji nie leci nic innego. Kiedy poszedł do przedszkola i po raz pierwszy spotkał inne dzieci, ktoś zapytał, jaka jest jego ulubiona kreskówka, a kiedy powiedział, że nie wie, wszyscy dziwnie się na niego patrzyli.

Szybko zrozumiał, że wiele go różniło od pozostałych dzieci w szkole. Tamci chcieli się bawić w policjantów i złodziei, on – w kowbojów i Indian. Oni oglądali *Królika Bugsa*, *Pelzaki* i jakieś badziewie o nazwie *ThunderCats*, gdzie postaci wyglądały, jakby człowiek wyruchał kota, podczas gdy on znał tylko Johna Wayne'a, *W samo południe* i Clintę Eastwooda. Zapytany, kim chce zostać, kiedy dorośnie, Dominic stanął dumnie wyprostowany i powiedział całej klasie, że chce być Jesse Jamesem.

Jesse James to był dopiero twardy skurczybyk. Potrafił strzelać z dwóch pistoletów naraz, jadąc konno, i był najwspanialszym bandytą wszechczasów. Dominic chciał, żeby jego nazwisko zapisało się w historii tak samo jak nazwisko Jesse Jamesa.

Słyszac skrzypięcie otwieranych drzwi frontowych, oderwał wzrok od emocjonującej akcji na ekranie i zobaczył, jak ojciec wchodzi do domu z dwoma nosidełkami dla niemowląt.

– Gdzie Carla? – zapytał, kiedy Lucyfer kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

– Nie żyje – odparł tamten natychmiast beznamiętnym tonem.

Chłopiec wygiął usta w podkówkę, zdjęty nagłym smutkiem, ale nie pozwolił sobie na płacz, bo wiedział, że spotkałaby go za to kara.

Carla była dla niego miła i nawet dała mu parę razy lody na śniadanie, kiedy Lucyfer jeszcze spał. Myślał już, że wreszcie będzie miał mamę, ale nawet jako pięciolatek zorientował się, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Kiedy ojciec zabierał ją do szpitala, patrzył na nią tak samo jak Clint Eastwood tuż przed tym, jak sięgnął po broń, żeby kogoś zastrzelić.

Prawie nie było dnia, żeby nie płakała, a kiedy Dominic pytał dlaczego, Lucyfer zawsze odpowiadał z pogardą: „bo jest słaba”, po czym mamrotał pod nosem, że lepiej, żeby ta słabość nie przeszła na jego synów.

Kiedy postawił nosidełka na podłodze w salonie, Dominic przysunął się do nich, szurając kolanami po parkiecie i rozdzielając swoje używane dżinsy o wystający gwóźdź. Zerknął do środka i zobaczył dwa pogrążone we śnie maleństwa.

– Ani się, kurwa, waż ich obudzić.

– Nie obudzę – obiecał szeptem. Chciał tylko przyjrzeć się noworodkom. Były takie malutkie i urocze; wyglądały zupełnie jak lalka-dzidzius, którą zawsze nosiła ze sobą jedna dziewczynka z jego klasy. – Jak się nazywają?

– Angel – powiedział Lucyfer, wskazując tego po prawej, po czym wskazał tego po lewej. – I Matthias.

– Ale skąd wiesz, który jest który? Wyglądają tak samo.

– Zobaczysz, jak się obudzą. Ten cały czas się drze – odparł ojciec, wskazując Matthiasa. – O, właśnie – burknął, gdy niemowlę

jak na zawołanie zbudziło się i zaczęło płakać. – Przynieś butelkę z torby na stole – rzucił ostro do syna.

Dom szybko wstał, podbiegł do torby na pieluchy i wyjął z niej na wpół pełną plastikową butelkę.

– Mogę go nakarmić – zaoferował, chcąc pomóc.

– Nie ma takiej potrzeby. – Lucyfer wyjął mu butelkę z rączek i wsadził smoczek w zapłakane usta noworodka, po czym wetknął ją pod koc, którym było owinięte, tak, żeby nie trzeba jej było trzymać.

Mały Matthias przez chwilę ssał gumowy smoczek, zanim ten wyslizgnął mu się z buzi, a wtedy znów zaczął płakać.

– Mogę potrzymać. – Dominic sięgnął po butelkę, ale Lucyfer dał mu po łapach.

– Naucz się pić, tak samo jak ty – zapewnił i na nowo ułożył butelkę, tym razem przytrzymując ją w miejscu, dopóki Matthias nie złapał odpowiedniego rytmu.

Ściskając obolałą dłoń, Dom przesunął się z powrotem przed telewizor, z dala od ojca.

Właśnie zaczynała się jego ulubiona scena. Widział ją już chyba z milion razy i potrafił naśladować akcję rozgrywającą się na ekranie. Kiedy kowboj zdmuchnął dym unoszący się z lufy, Dominic ułożył dłoń w kształt pistoletu i zrobił to samo, po czym schował dłoń do kieszeni dżinsów dokładnie w tym samym momencie, kiedy tamten wsunął broń do kabury.

– Gdzie DeeDee? – zapytał Lucyfer, wpatrując się w niego od tyłu.

Wzruszył ramionami. Prawie wcale jej nie widział, odkąd tu przyszła, by go pilnować.

– Chyba śpi na górze.

– Idź po nią.

Szybko wstał i posłusznie wszedł po skrzypiących schodach. Znalazł DeeDee rozwaloną na łóżku ojca, cuchnącą tymi żółtymi szczynami, które tak lubiła pić. Potrząsnął nią, próbując ją obu-

dzić; z początku lekko, a gdy to nie poskutkowało, coraz mocniej i mocniej, aż w końcu zdołała unieść powiekę i wybełkotać:

– Cz-czego, szczeniaku?

– Mój tata tu je...

Nie zdążył nawet dokończyć zdania, bo DeeDee na te słowa natychmiast zerwała się z łóżka. Pobiegła do niewielkiej łazienki, ochlapała twarz wodą i odkaslnęła, wypluwając do umywalki grudkę flegmy.

Równie szybko zeszła po schodach, choć przez kaca parę razy zmyliła krok. Gdyby nie to, że Dominic szedł przed nią i udało jej się oprzeć o jego głowę, przewróciłaby się i potoczyła w dół po stopniach.

– Tak, Lucyferze? – DeeDee z całych sił starała się brzmieć, jakby nie wypalała paczki papierosów dziennie.

– Wychodzę z Dominicem za dom. Przypilnuj bliźniaków.

– W porządku. – Z uśmiechem poszła przyjrzeć się niemowlętom. – Co za słodziaki, wykapany ta...

– Idziemy. – Lucyfer popędził syna, ignorując kobietę.

– Co będziemy robić? – zapytał Dom, kiedy wyszli tylnymi drzwiami do pustego, błotnistej ogródka z rzadka tylko porośniętego kępkami poźółkłej trawy.

– Jesteś gotowy – stwierdził ojciec, podnosząc jedną ze starych, zgniecionych puszek po napojach walających się po ziemi. Poszedł ją postawić na pniaku kilka metrów dalej, po czym wrócił.

– Gotowy na co?

Lucyfer wyciągnął zza pleców pistolet.

– Żeby stać się mężczyzną.

Chłopiec wbił spojrzenie w lśniący, srebrzysty metal. Odbite od niego światło słońca oślepiło, ale nie był w stanie odwrócić wzroku. Tak bardzo chciał wyciągnąć rękę i go dotknąć; wreszcie chwycić w dłoń rzecz, której pragnął najbardziej na świecie, i przybliżyć się o krok do zostania wielkim bandytą, takim jak Jesse James.

Plastikowy pistolet, który dostał w wieku dwóch lat, przestał mu wystarczać, kiedy zorientował się, że to zabawka dla dzi-
dziusiów i naprawdę wcale nie strzela. Chciał prawdziwej broni.
Ciągle wpatrywał się w tę, którą właśnie podawał mu ojciec, ale
nigdy nie zapomniał, co się stało, kiedy próbował jej dotknąć.

Miał wtedy trzy lata, a Lucyfer odłożył pistolet na stół w kuch-
ni. Złapał go za rączkę, zanim Dominic zdążył choćby poczuć
dotyk metalu. Powiedział tylko:

– To nie zabawka dla małych chłopców; to broń dla mężczy-
zny. – A potem jednym ruchem złamał mu nadgarstek. Dominic
nigdy więcej po niego nie sięgnął. Nawet teraz był przekonany,
że to jakiś test.

– No, bierz – nalegał Lucyfer, przysuwając broń bliżej.

– Naprawdę? – Dom w końcu oderwał wzrok od pistoletu
i spojrzał mu w oczy. Wyglądało na to, że ojciec mówił poważ-
nie. – Nie będziesz się złościł?

– Będę, jeśli go nie weźmiesz. No, już! – warknął Lucyfer.

Dom wzdrygnął się i powoli wyciągnął rękę. Gdy metalowy
przedmiot wylądował w jego dłoni, o mało go nie upuścił; nie
spodziewał się, że będzie taki ciężki. Z bronią w ręku czuł się
inaczej, niż to sobie wyobrażał, ale mimo to było to dobre uczu-
cie. Kiedy znów ją uniósł, był już przygotowany na jej ciężar.

– Dobrze, masz dość siły, żeby go utrzymać.

Nie tracąc czasu, Dom wycelował w puszkę i pociągnął za
spust, ale usłyszał tylko szczęknięcie.

Lucyfer szybko wyrwał mu broń z ręki.

– Czy ja ci, kurwa, kazałem strzelać?

– Przepraszam, nie...

– Nie jesteś gotowy. – Ojciec pokręcił głową i zaczął się oddalać.

– Jestem! – zawołał za nim Dominic. Skąd miał wiedzieć, że
nie wolno mu strzelać?

– Pierwsza lekcja nie będzie przyjemna. – Lucyfer zawrócił
gwałtownie, złapał syna za rękę i umieścił w niej pistolet w pra-

widłowy sposób. – Kiedy kładziesz palec na spuście, musisz być gotowy ponieść konsekwencje, nieważne, czy myślisz, że broń jest naładowana, czy nie.

Dłoń Dominica zadrżała, gdy Lucyfer uniósł pistolet tak, że chłopiec mierzył w jego pierś. Gdy spoglądał na lufę wycelowaną prosto w serce mężczyzny, przed oczami przeleciały mu wszystkie sceny śmierci, które widział w westernach, tyle że zamiast martwych kowbojów, widział własnego ojca leżącego w kałuży krwi.

– Palec trzymasz tutaj – Lucyfer dotknął jego palca wskazującego, spoczywającego u dołu lufy – dopóki nie jesteś gotowy do strzału. Dopiero wtedy przenosisz go na spust. – Dominic poczuł łzy napływające mu do oczu, gdy ojciec przesunął jego palec. – Bo kiedy za niego pociągniesz, musisz być pewien, co jest po drugiej stronie.

SZCZĘK.

Kiedy ojciec zmusił go do pociągnięcia za spust, łzy spłynęły mu po policzkach, nie dlatego, że bał się, że go zabije, ale dlatego, że podobała mu się ta wizja.

– A teraz... – Lucyfer nakierował lufę pistoletu z powrotem na puszkę i skorygował postawę chłopca, pokazując mu, jak trzymać broń i spoglądać przy tym przez celownik. – Będziesz tu tak stał, dopóki nie pozwolę ci się ruszyć.

Dominic nie odezwał się ani słowem, kiedy ojciec ruszył z powrotem do domu, i mimo zmęczenia ogarniającego jego drobne ciało i bólu ramion drżących pod ciężarem broni pozostał na miejscu, nie dotykając palcem spustu. W końcu jednak spotkało go coś dobrego – wreszcie spełnił swoje marzenie o utrzymaniu broni.

Patrząc znad lufy na zgniecioną aluminiową puszkę, szykował się na dzień, kiedy broń będzie naładowana.

Dopiero kiedy ostatnie promienie słońca chowały się za horyzontem, ojciec znów wyszedł z domu, odebrał mu broń i powiedział, że może wrócić do środka.

Gdy opuścił ramiona, poczuł się, jakby mu odpadły. Musiał się upewnić, że wciąż są na swoim miejscu.

Wchodząc do domu, zobaczył, jak DeeDee odkłada bliźniaka imieniem Matthias z powrotem do nosidełka i podaje mu butelkę. Był pewien, że to Matthias tylko dlatego, że kiedy DeeDee poszła dołączyć do Lucyfera w kuchni, zobaczył, jak Angel leży spokojny i zadowolony.

Zajrzał do kuchni, żeby sprawdzić, czy ojciec zaraz nie przyjdzie, po czym usiadł między braćmi i przytrzymał Matthiasowi butelkę.

Siedział tak, karmiąc jednego brata, a drugiego kołysząc do snu.

W sumie dzisiaj przydarzyły się dwie dobre rzeczy. Trzymał w rękach broń...

I nie był już sam.